



Czarna Ćma

Steve
Liebich

Published by Wydawnictwo Internetowe,
2020.

This is a work of fiction. Similarities to real people, places, or events are entirely coincidental.

CZARNA ĆMA

First edition. August 21, 2020.

Copyright © 2020 Steve

Liebich. ISBN: 978-

8395773228

Written by Steve Liebich.



Rozdział XVIII

(Fragment)



Dokończyli śniadanie, Jeff zapłacił za wszystkich (wbrew wysiłkom Petera nalegającego na podzielenie kosztów), wyszli na parking i wsiedli do rozgrzanej od słońca kabiny ciężarówki. Wielka pustynia niczyja zaczynała wypuszczać soki. W oddali horyzont falował i zniekształcał się. Drogą stanową numer czterdzieści sunęły rozpędzone samo- chody, zostawiając za sobą martwą ziemię Teksasu. Zaraz potem troje po- dróżnych poszło w ślady innych i uciekło od marsowych krajobrazów w stronę wschodzącego słońca.

I Peter, i Lynn starali się zachować pozory spokoju. Oboje czuli się parszywie, wiedząc, że ryzykują życiem dobrego i pocziwego człowieka, który nie miał pojęcia, komu tak naprawdę pomaga. Poczucie winy gryzło ich serca, lecz na szali wisiały także ich życia. Czy to chęć przetrwania kazała im wystawiać Jeffa na sztych? Peter nie czuł się wcale lepszy od złoczyńców i okrutnych filmowych drabów, którzy zabijają niewinnych ludzi. Świadomość narażania drugiego człowieka na śmierć trawiła jego sumienie i ciążyła mu w głowie bardziej niż cokolwiek innego. Igranie ludzkim życiem to niemal to samo co świadome zabójstwo. Peter i Lynn czuli się wszawo i jak wszy karmili się krwią Jeffa.

Z drugiej strony każdemu z nich zależało na życiu swoim i tego drugiego. Czy to złe i amoralne? Ratowanie jednego życia dzięki poświęceniu drugiego? Kto ustanowił prawo wyższości? Życie za życie. A przecież zostawiając Jeffa samego, równie dobrze mogli go narazić na niebezpieczeństwo. Kto wie, może nawet większe, niż groziło mu przy nich. To chwytanie się brzytwy na wodach zwątpienia i ratowania własnej duszy, ale lepsze to niż nic.

– Za pół godziny przejedziemy przez Groom, a za godzinę będziemy w Amarillo, mieście... Sam nie wiem czego, ale przynajmniej nie taka dziura jak te, które mijamy.

Zwrócił wzrok na Petera i Lynn.

– Mają tam takie festyny kowbojskie. Wiecie, bizona, ursa i strzelaniny z dubeltówek. Fajna sprawa. Jak ktoś lubi dziki zachód. Ja tam nie lubię i męczę się, jak widzę, kiedy te bidne zwierzęta się męczą. To wszystko to jedno wielkie wiadro gówna przemieszane z popieprzoną historyjką o dzielnych żołnierzach z ursorami zamiast gwer. Pardon za wyrażanie się, *madame*!

Uśmiechnął się do Lynn, ale ona go nie słuchała.

– Co wy tacy nie w sosie, co? Nudzę was, nie?

Peter pierwszy otrząsnął się z czarnych chmur myśli.

– Co? Nie, co ty. Ja też nie lubię

kowbojów. Jeff wyglądał na
zmarłego.

– Na pewno wszystko w porządku? Jak coś, to walcie jak w dechę. Nie złamiecie mnie. – Znowu się zaśmiał.

– Strasznie gorąco w tym Teksasie – rzuciła na poczekaniu Lynn, że- by uciec od tematu ich wspaniałego i różanego samopoczucia.

– A czegoś ty się spodziewała, dziewczyno? To dziki zachód: stepy, żar, pustka i wielkie góry... i wielkie nic.

– A skąd dokładnie pochodzisz, jeśli mogę spytać? – spytał Peter.

– Ze wspaniałego miasteczka Freeport. Leży tuż przy ujściu Brazos, która ucieka do Zatoki Meksykańskiej. To miasteczko czysto portowe i wypoczynkowe. Mało mieszkańców, mało imprez, mało zabawy, ale jeśli szukacie zdrowego eteru i gorącego słońca, to idealne miejsce na wakacje. I do zamieszkania. Taki malutki zakątek szczęścia na tym zwariowanym padole leż.

– Wciąż tam mieszkasz?

– Nie, teraz mieszkam w Huston. Z zagajnika do lasu tropikalnego, co nie? Życie i okoliczności mnie zmusiły. Mnie i żonę. Mieliliśmy chore dziecko. Tylko w dużym mieście mogliśmy znaleźć pomoc. Los czasami płata nam figla, nie ma co.

Lynn z Peterem wymienili pospieszne spojrzenie. Chore dziecko? Wciąż jest chore czy już wyzdrowiało? Matko, w co oni go wplątali!

– Ale co tam, trzeba patrzeć w przyszłość, prawda?

– Tak – Peter pokiwał głową, czując się z każdą sekundą gorzej. – Ale już jest dobrze? – Musiał wiedzieć. Po prostu musiał.

Jeff zamyślił się. Uciekł umysłem z kabiny w jakiś inny wymiar. Potem przerzucił wzrok z pustej i parującej asfaltowej drogi na Petera.

– Czasami należy wprowadzić chaos, aby wyprowadzić z niego ład – odezwał się enigmatycznie. Szukał czegoś w oczach chłopca, ale niedługo później przerwał i wrócił spojrzeniem na drogę. Żar lał się z nieba, a zroszone potem czoła Petera i Lynn zmarszczyły się.

– To znaczy? – przerwała ciszę Lynn.

– Czasami trzeba coś poświęcić w imię wyższego dobra, prawda? Peter i Lynn wzdrygnęli się. Pierwszy raz usłyszeli taki ton w głosie

Jeffa. To nie był on, ktoś obcy schowany w jego ciele wyrzucał te zagadkowe i upiorne słowa. Same w sobie nie były groźne, ale w połączeniu z tonem głosu i złęknionym wyrazem twarzy brzmiały zatrważająco.

W pierwszej chwili pomyśleli, że Jeff poznał się na nich. W tajemniczy sposób poznał ich myśli i strachy. To nonsens, całkowita głupota, ale cała ta sytuacja nie trzymała się kupy. Nic tutaj nie grało, nie było takie, jakie powinno być. Do kabiny ciężarówki wdarł się cień.

– Co masz na myśli? – Peter chciał uciekać. Podświadomie wyczuwał w tej rozmowie zagrożenie. Takie myślenie było absurdem, umysł rzucał andronami, płatał jakieś niedorzeczne figle, ale prawda była taka, że... wyczuwał niebezpieczeństwo. Pogłębione rysy twarzy Lynn również manifestowały to, o czym zapewne myślała. Przerażenie.

– Świadome działanie w imię dobra. Zło przekuć w dobro. Grzech w dobry uczynek. Porażkę w chwałę. To dobre myślenie, prawda?

Jezu kochany. Co tu się dzieje?!

Lynn przełknęła ślinę głośniejsze, niż zamierzała.

– Nie zgadzasz się z tym, Lynn?

– Nie wiem, czy się zgadzam, czy nie. Masz rację, że nie wszystko jest tylko białe albo tylko czarne.

– Dokładnie tak! – krzyknął Jeff. – Święte słowa. Właśnie o to mi chodzi. Szary kolor też istnieje, prawda?

– Prawda – przytaknęła. – Ale... – zawahała się – dlaczego poruszasz tę kwestię?

Nie spojrzał na nich. Patrzył w zamyśleniu na drogę.

– Dlaczego Bóg pozwala na takie rzeczy? Na to całe zło, co się dzieje dokoła? Ludzie nie czują się bezpieczni, bo zło może ich dopaść wszędzie. Dosłownie wszędzie.

Peter już nie karmił umysłu za niedorzeczne wysyłanie sygnałów. Czuł się zagrożony. Bał się, dostał gęsiej skórki, wyteżył słuch i wzrok, reagował na więcej bodźców. Serce mu przyspieszyło, oddech też. Powoli przestawał odczuwać strach. Zaczynał czuć przerażenie.

Lynn przycisnęła się do Petera. Zapomniała o wszystkim, co zaszło między nimi wczoraj. W tych okolicznościach tamte

zmarnięcia wydawały się niczym, pyłem na wietrze. Teraz obojgiem targał wściekły huragan. Bali się, z każdą sekundą coraz bardziej.

– Czasami nie potrafię tego wszystkiego wytrzymać. To napiera na mnie jak ściana nabita kolcami. Zbliża się, zbliża, a moja skóra czuje ostre krawędzie stalowych szpikulców. Zaczynam krwawić, ale nie wykrwawiam się. I nie wykrwawię, bo moje ciało zdąży wyprodukować nową krew. I tak będzie się działo w nieskończoność.

Jeff nie rozmawiał z Peterem i Lynn, ale prowadził budzący grozę monolog. To, co mówił, a raczej wyrzucał z siebie, nie miało krzty sensu. A przynajmniej dla dwójga spanikowanych dzieciaków, które po raz kolejny znalazły się w sytuacji bez wyjścia. Choć Jeff nie zagrażał im bezpośrednio, bali się go, bo przechodził przemianę. Budziło się w nim coś złowrogiego. W każdej chwili mógł zrobić coś, czego się nie spodziewali.

– Nie jestem złym człowiekiem. Grzeszę jak każdy, nie chodzę co tydzień do kościoła, nie daję pieniędzy na zbiórki, ale nie zasługuję na piekło. Wiecie, dlaczego z fabryk samochodowych nie wyjeżdżają jeszcze samochody na silniki elektryczne czy zasilane energią słoneczną? Dlaczego cały świat nie pozbył się jeszcze silników spalinowych? Bo gigantyczne koncerny straciłyby popyt na swoje produkty. Stracono by na tym interesie setki miliardów dolarów. Ucierpieliby nie tylko oligarchowie naszego świata, ale też rządy i organizacje terrorystyczne. Dosłownie wszyscy, którzy czerpią korzyści z ropy. Dlatego zmiany zachodzą tak wolno. Dlatego kolejni ludzie giną przypadkową śmiercią – uduszeni, zadźgani, potrąceni, zastrzeleni. Jeśli wiesz, jak zmienić świat, lecz twój sposób ma zmienić też politykę pieniądza, giniesz. Setki, jeśli nie tysiące ludzi zginęło, bo chciało zmienić świat. Na przekór politykom i biznesmenom. To jest grzech. To jest zbrodnia. Morderstwo i przyzwolenie, aby świat truł się spalinami. Rządy mają na sumieniu więcej żyć niż ktokolwiek inny. Czy ja jestem zły? Czy ja zasługuję na piekło?

Poczucie zagrożenia przeszło w panikę. To nie był już ten Jeff, którego poznali. Przerażeni spoglądali to na niego, to na drogę, myśląc tylko o tym, co za chwilę się stanie.

– Ona była taka młoda – jęknął przeraźliwie. Odwrócił się do nich i miał łzy w oczach. – To dziecko nie zasługiwało na śmierć. Miała całe życie przed sobą.

Strach zdjął z Petera szatę spokoju. Na jego twarzy malowało się czyste przerażenie. Kiedy Jeff przestawał mówić, chłopak słyszał zdwojone bicie serca. Lęk nie pozwalał mu się ruszyć. Słuchał wyznań mężczyzny, modląc się tylko o to, by przeżyć. Tylko o to, by przeżyć.

– Słodka blondyneczka, kochana, uwielbiała las i spacerować. Pełna życia, po prostu wspaniałe dziecko. Nie zasłużyła sobie na taki los – mówiąc to, płakał. Znany im Jeff odszedł na zawsze. Zgubił się w odmętach myśli tego nowego, zatrważającego, paskudnego mężczyzny z chorym umysłem. – Nie chciałem, żeby zginęła!

Peter musiał zapytać. Znowu. Znowu musiał wiedzieć.

– Czy ty... – powinien siedzieć cicho. Ryzykował życiem swoim i Lynn – zabiłeś ją?

– Nie! – ryknął Jeff. – Nie! Kurwa, nie. Nieeeee – wychlipał, trzęsąc się na całym ciele. – Chciałbym, żebym to był ja. Chciałbym, żeby ją ktoś zamordował. Wtedy to miałoby sens. Wtedy to wszystko nie byłoby tak kurewsko popierdolone. Zamknęliby mnie, ale wiedziałbym za co, wiedziałbym, że słusznie, i w milczeniu żałował za grzechy. Ale zrobiłem rzecz o wiele gorszą...

Peter otwierał usta, żeby zadać kolejne pytanie, lecz Lynn położyła dłoń na jego ramieniu. Nie mógł drażnić lwa mięsem. Tylko tak mogli się jakoś z tego wykaraskać. Peter odwrócił głowę i spojrzał na przerażoną dziewczynę. Całe jej ciało mówiło: „Przestań!”. Ale on, nie wiedział dlaczego, musiał wiedzieć. Jakby prawda miała im w jakikolwiek sposób pomóc. Czuł wewnątrz siebie, że musi wiedzieć. Strach pokrył go całego, lękał

się o życie i doskonale zdawał sobie sprawę, że nie mają dokąd uciec. Mimo tego wszystkiego musiał wiedzieć. Musiał!

– Jaką rzecz? – zapytał cicho, niemal szeptem.

– Chcecie wiedzieć? Chcecie wiedzieć, dlaczego ten kurewski szma- ciarz powinien zdechnąć jak mucha na parapecie?

„Nie!”, krzyczało ciało Lynn. Nie chcę wiedzieć. Za późno. Jeff zaczął mówić:

– Tamten obszczymur z motelu, były mąż mojej siostry, którego poz- naliście, to Mark Clampford. Dwa lata temu zostawiła go i rozwiedli się. Zapomniała o nim i ułożyła sobie życie na nowo. Ale ja go nie zostaw- iłem. On wciąż nawiedza moje życie, śni mi się w koszmarach, dławi mój oddech. Moja siostra, Sarah, zostawiła go po tym, jak dowiedziała się, że jest narkomanem i sam sprzedaje narkotyki. Ich małżeństwo i tak się nie układało, zaraz po ślubie ujrzała na własne oczy, za kogo wyszła. Za nic niewartego moczymordę i zbereźnika, któremu nic w życiu nie wyszło. Wiecie, skąd się dowiedziała o jego narkomanii? Ode mnie.

Co jakiś czas samotny wóz mijał ich po drugiej stronie pasa, ale nikt za nic nie domyśliłby się, że tych dwoje dzieciaków w kabinie normal- nej ciężarówki prowadzonej przez zwykłego kierowcę potrzebuje pomo- cy. Tylko przyjrzenie się ich twarzom dałoby jako taki ogląd sytuacji, ale nikt nie zamierzał obserwować wyrazy twarzy nieznajomych na pustej teksańskiej drodze na samym środku pustyni. Byli skazani tylko na siebie.

– Ja jej to powiedziałem. Okłamałem ją. Dla jej dobra. Gdyby ten przekłety sukinkot był narkomanem, to w porównaniu z prawdą można by go uznać za wyborną partię. On był już raz żonaty. Miał z nią dziecko: Mirandę. – Oczy Jeffa załśniły. – Śliczna dziewczynka, słodka i idealna jak marzenie. Taki promyk szczęścia, kochana, bardzo kochana. Zostawił żonę, poznał moją siostrę, ożenił się drugi raz, ale nie stracił praw do dziecka. Albo on odwiedzał ją, albo ona, częściej, odwiedzała jego. Wtedy miałem okazję, przychodząc w odwiedziny do Sarah, cieszyć się obecnością małej Mirandy. Uwielbiałem się z nią bawić,

opowiadać jej o moim i Sarah rodzinnym miasteczku, o naszych przygodach z dzieciństwa. Kochałem jej towarzystwo, a ona chyba lubiła przebywać ze mną. Najlepsza dziewczynka na świecie.

Jeff uśmiechnął się, wciąż mając łzy w oczach. Peter czuł równie moc- no strach, jak ciekawość. Wiedział, że ta historia nie ma szczęśliwego za- kończenia, i wiedział też, że to zakończenie jest przyczyną rozpaczyny tego nieszczęśliwego mężczyzny. Mężczyzny, który w każdej chwili mógł do- prowadzić do tragedii.

– Jednak co jakiś czas zauważałem zmianę w jej zachowaniu. Bywała zasmucona, nieobecna, jakby... wyjałowiona z uczuć. Niczego się nie domyślałem, dopóki nie nadszedł ten dzień. Odwiedzałem ich dom, sukinsyn półpijany pomagał siostrze zastawiać stół do obiadu. Kłócili się, nie miałem ochoty być tego świadkiem. Poszedłem na górę, do Mirandy. Chciałem jej powiedzieć, że obiad jest już gotowy, a zarazem przeczekać z nią kłótnię na dole. A ona... Miranda leżała na łóżku i płakała. Dziewięcioletnie dziecko nie płacze z byle powodu, samotnie w swoim pokoju. Przysiadłem się do niej, przytuliłem i zapytałem, co się dzieje. Nie wiem dzisiaj sam, czy chciałem to usłyszeć. Nie wiem, co byłoby lepsze. Może gdybym tego nie usłyszał, nie doprowadził do ich rozvodu, może wtedy jeszcze jakoś by się to ułożyło. – Trzymał kurczowo obiema rękoma kierownicę. Łzy wypływały mu z kącików oczu, skapując na usta, brodę i koszulę. Nie było do końca jasne, czy on nadal mówił to Lynn i Peterowi. Być może mówił do siebie. Peter nie wiedział. – Kiedy na mnie spojrzała i opowiedziała... zdławił mnie strach. Kurwa, mnie! Starego pryka przeraziła opowieść małej, dziewięcioletniej dziewczynki. Ten pierdolony skurwiel gwałcił ją każdej nocy, kiedy u niego była! A Sarah o tym nie wiedziała.

Peter na moment wstrzymał oddech. Lynn przestała się na krótką chwilę bać.

– Okłamałem ją. Opowiedziałem jej bzdury o narkotykach i podobnych rzeczach. Uwierzyła mi, tym bardziej że drania od długiego czasu nienawidziła. Zostawiła go, kupiła nowe

mieszkanie i odbudowała swoje życie. W odróżnieniu ode mnie. Mój koszmar dopiero się zaczął. Kiedy od niego odeszła, byłem gotów go zamordować. To nie byłoby trudne; śmierdziel upija się każdego dnia. Nawet by się nie bronił. Jednak zanim cokolwiek przygotowałem, on sam się przygotował. Zaproponował mi układ: będzie dawał mi miesięcznie pięć tysięcy dolarów w zamian za milczenie. Nie wiem skąd, ale wiedział, że ja wiem. A ja... – Jeff już zupełnie nad sobą nie panował – ja się zgodziłem. Moja córka... choruje od urodzenia, terapia jest droga, piekielnie droga. Oboje z żoną opłacaliśmy leki, sami nie mając na jedzenie ani na nic. Te pięć tysięcy... Matko! Ułożyłem się z pedofilem! To mnie zniszczyło. Zabiło mnie!

Na przemian krzyczał i płakał, nie kontrolował ani siebie, ani ciężarówki. Za to Peter i Lynn na nowo zaczęli się bać. W powietrzu zawisła katastrofa. Zawisła śmierć.

– Pół roku później, czyli półtora roku temu, zadzwoniła do nas

Sarah. Nie mogliśmy jej uspokoić. Krzyczała, wrzeszczała, zdierała gardło, aż w końcu wyrzuciła te pięć słów: „Miranda nie żyje. Popelniła samobójstwo!”. Dziewięcioletnia dziewczynka popelniła samobójstwo! Rzuciła się z dachu domu. Przyjechaliśmy od razu. Do dzisiaj śni mi się ta krew na jezdni. Mirando... – Jeff wpadł w amok. Wszystko w nim puściło. Uwolniło się to, co gromadziło się od dwóch lat. – Zabiłem ją! Zamordowałem Mirandę! Boże kochany, co ja narobiłem?!

Peter też uronił łzy, słysząc tragiczną opowieść z ust człowieka, który powoli tracił zmysły.

– To nie była twoja wina – rzekł cicho, ale dobitnie. – Słyszysz? To jego wina, nie twoja.

Jeff go nie słuchał. Drżał, bujał się na siedzeniu i krzyczał w niebogłosy, wykrzykując imię dziewczynki.

– To nie była twoja wina – Peter spojrzał na Lynn, ale ona nie była w stanie niczego z siebie wydusić. Przewrzenie wyłączyło jej mózg. Poza tym wyczytał z jej oczu, że ona uważała inaczej.

Jeff sięgnął ręką do schowka przy hamulcu ręcznym. Grzebał jedną ręką w środku, aż wyciągnął to, czego szukał. Czarny rewolwer.

– Żyłaby, gdybym zgłosił to na policję. Zająłoby się nią specjaliści. Ale ona wciąż go odwiedzała. A on wciąż ją gwałcił. Boże drogi... Ja nie chci- ałem! – ryczał jak zarzynana świnia, nie patrząc na drogę.

– Ratowałeś własne dziecko – powiedział Peter. – Robiłeś to dla do- bra swojego dziecka. Nie zrobiłeś niczego złego, słyszysz mnie? Nie zro- biłeś niczego...

– Wybacz mi – Jeff po raz pierwszy od rozpoczęcia opowieści odwró- cił wzrok na Petera. I ostatni. Przyłożył rewolwer do prawej skroni i pociągnął za spust. Kula przebiła czaszkę, wyleciała z drugiej strony i rozbiła szybę. Z dziury w skroni wielkości wiśni wyleciał fragment tkanki mózgowej, a krew przysła na twarz Petera. Ciało Jeffa bezwiednie opadło na siedzenie. Ciężarówka zakołysała się. Kierownica obracała się we wszystkie kierunki, rzucając wozem to w lewo, to w prawo.

Z przeciwnej strony nadjeżdżał samochód osobowy. Nie zdążył wyhamować ani skrócić. Wjechał czołowo w zderzak kabiny. Siła uderzenia zgmiotła go jak papier i wyrzuciła na bok z prędkością pocisku. Ciężarówka zakołysała się i z wielkim łomotem walnęła o ziemię, prze- suwając się jeszcze o ponad dwadzieścia metrów wzdłuż jezdni. Zgasł sil- nik, a z maski buchnęły kłęby dymu.

Nadjechały kolejne dwa samochody. Zatrzymały się, a kierowcy wraz z pasażerami biegli ile sił w kierunku miejsca wypadku. Ujrzeni tylko zmi- ażdżony samochód osobowy, z którego u dołu wyciekały cienkie struż- ki krwi, oraz przewróconą ciężarówkę z trzema nieruchomymi ciałami w zniszczonej kabinie.

